

Nowe Niemcy

Agnieszka Kłos

W Niemczech powitała mnie guma do żucia. Wpadła mi pod nogi na dworcu głównym w Dreźnie, podczas przesiadki. Musiała ją zgubić jakaś nastolatka, albo facet w garniturze, który zjadł coś tłustego w barze. W sklepie było pusto, a tuż obok mojego buta leżała paczka tych gum. Podniosłam ją i schowałam do kieszeni ugniatając grubą rękawiczką. Nie chciałam, żeby jakaś baba pomyślała, że kradnę. Guma była doskonała. Smakowała delikatną miętą i przypominała mi wszystkie gummy z dzieciństwa. Też były delikatne i miękkie. Nie wrywały plomb, kiedy się je żuło. Można je było ugniatać językiem i bawić się nimi w ustach. Pomyślałam, że skoro Niemcy już od progu są tacy dla mnie gościnni, to ja będę się tu czuła jak u siebie. A może znacznie lepiej. Pierwszą kiełbasę kupiłam na głównym deptaku Lipska. Jej zapach unosił się w powietrzu kilka kroków przed psią budką, w której dwie panie smażyły frytki i szatkowały mechanicznym nożem kiełbaski, a potem podawały je z keczupem. Oparzyłam sobie podniebienie tak łapczywie jadłam, a panie przyglądały mi się ukradkiem. Wróciłam do Lipska po roku. W tym samym czasie, pośrodku zimy. Dlatego później zamiast iść od razu do



Instytutu, łażyłam z walizką po zaśnieżonych ulicach i przypominałam sobie wszystko. W dali był mały placyk, na której w zeszłym roku stała zabytkowa, wielka karuzela. Bernd powiedział, że ktoś ją podpalił. Kręciła się jeszcze przed Bożym Narodzeniem, a potem ktoś podłożył pod nią ogień. Plac był pusty. A jednak wszystkie ulice Lipska w samym centrum były takie mityczne, wyczekujące i zaśnieżone. Włókłam walizkę po grubym śniegu i nie widziałam ani jednego człowieka. Kiedy zatoczyłam koło, zobaczyłam, że psia budka jest zamknięta na gruby łańcuch. Chciałam zjeść kolejną kietbasę, ale było zamknięte. Zobaczyłam przez szybę pozmywane blaty, umyte noże, powieszzone suszarki do ziemniaków, mokre fartuszki i ściereczki. Kobiet nie było. W pokoju gościnnym usiadłam w butach i kurtce. Było tak ciepło i cicho, że przysiadłam na chwilę. Nastuchiwałam pokoju. Naprzeciw były biura i rano migwały mi w oknach dwie panie, które stukwały w klawisze komputera, odrywały oczy i wpatrywały się bezwiednie w moje okna. Wskakiwałam w piżamie jakby budził mnie ich wzrok, a potem zasłaniałam żaluzje. W południe przychodził do nich facet. Wpatrywał się w komputer, stał nad nimi przechylony. Bezwstydnie. Rozporek miał na wysokości ich oczu i ust. To się zdarzyło pierwszej nocy. Wyszłam do miasta, żeby napić się piwa i zobaczyć raz jeszcze ciche, mityczne uliczki małego Lipska. Obejść wokół placyku, na której sptonęła piękna karuzela. Wraz z moim koniem, na którego wsiadłam ubiegłej zimy. Koń był biały, ogromny, z ledwością się na niego wdrapałam. Na ulicy nie było nikogo. Podeszłam do sklepu chińskiego i zatoczyłam koło, a potem zrobiło mi się tak zimno, że postanowiłam wrócić. I wtedy zaczepiło mnie tych dwoje. Najpierw facet na cichym wózku. Jeździł nim po pustym deptaku i zebrał. Mechaniczne kółeczka mknęły po śniegu i lodzie, a on na wydechu prosił o kasę. Wokół mnie zatoczył tylko kółko jakbym była niewidoczna i popędził do starszej kobiety. Odbił się od niej jak na taflí lodu, obrócił wokół osi i wykonał taką wdzięczną figurę, a potem odjechał. Nie pamiętam nawet czy dostał forszę. Kobieta spytała, czy nie znam knajpy Baum, bo ona chętnie napiłaby się kawy. Wiedziałam, że knajpa leży zaraz przy Instytucie, ale nie umiałam jej

tego powiedzieć. Kiwnęłam tylko ręką i prowadziłam przez uliczki Lipska. Nie ufała mi, nie wierzyła, stawiała i kręciła głową, raz próbowała zawrócić, chwyciła za rękę, cofnęła się ostentacyjnie na ulicę, prosiła ręką zawracajmy, ale nie dałam za wygraną. Chodź, mówiłam po polsku. Alles Gut, zapewniałam. Nach Baum, kafee. Niemka mi nie wierzyła, bała się, kiedy weszliśmy w ciemny zaułek. Puściła mnie przodem, chciała zwać. W końcu stanęliśmy przed knajpą. Pokazałam na wejście. Baum, widzisz? Ale ona straciła nagle cały swój zapał. Wpatrywała się tempo w napis, oglądała okienka oświetlone mlecznym światłem. To Baum, Kafe Baum, widzisz? Dotarliśmy, możesz iść na kawę. Kafe Baum alte, pokazywałam jej ręką. Nie pomogło. Niemka widocznie zrezygnowała w ostatniej chwili i za nic w świecie nie chciała tam wejść. Ja idę, powiedziałam na głos. Odchodzę, guten Nacht. I poszłam w stronę Instytutu. Nie mogłam się nie roześmiać, śmiałam się jak obłąkana z Niemki, która zna gorzej Lipsk ode mnie i nie dociera sama do najstarszej knajpy w tym mieście. Odkrywam ją przed nią, zachęcam do wejścia, tłumaczę, że jesteśmy na miejscu i przypominam sobie właśnie jej słowa; kafee. Chciała się tylko napić kawy. Samej kawy. Nie w zabytkowej knajpie, nie w Baum, gdziekolwiek indziej, nie tam. Zatoczyliśmy razem kółko, obiegliśmy deptak, pusty plac po karuzeli i dotarliśmy do małego placzyku z fontanną pośrodku. Skręcało mnie ze śmiechu i śmiałam się w kilku dalszych miejscach; przy wejściu do windy, na schodach na piętro i tuż przy moich drzwiach. Zapomniałam o piwie. Chciałam się wrócić. Zeszłam po schodach, weszłam na dziedziniec, podeszłam w stronę zimnej uliczki. Na dworze było pusto. Sądziłam, że spotkam moją Niemkę, że raz jeszcze zobaczę jej ciemny skafander na tle śniegu, ale nie było żywej duszy. Powietrze stało od mrozu. To była polska zima ze stanu wojennego. Delikatnie, kropla po kropli dotarła do Niemiec i po wielu, wielu latach mogłam jej wreszcie dotknąć. Miasto wyglądało jak po imprezie. Sprzątnięte, umyte na noc. Nie było świątecznych straganów, kiełbasek na ruszcie, kubeczków z grzanym winem. Wszystko się gdzieś podziało. Upchnięte po piwnicach, schowane w rupieciarni na przyszły rok.

Ta piękna karuzela nie miała szczęścia. Spłonął wielki biały koń i ciemny tygrys, na którym jechała Asia. Zawstydzona, delikatna, zarumieniona dziewczynka. Tygrys i koń. Nie wiedziałam, że tak się różnimy. W środku balonu siedzieli mali staruszkowie. Cieszyli się z obrotu karuzeli i rozmawiali o czymś szeptem. W jarmarcznym hałasie nie było nic słychać. Drobne lusterka na gondoli odbijały ich siwe włosy, szare wytrawne płaszcze, jej rękę z pierścionkiem, którym chwyciła go w locie, jak podczas szybkiego pędu jakiegoś wozu. Choć donikąd nie gnali. Choć gondola obracała się wolno, specjalnie, ze specjalną troską, nawet nie w dziecinny sposób. A teraz plac był pusty. Usłyszałam krzyki i rytmiczne klaskanie. W piwnicy obok jakieś kobiety ćwiczyły aerobik. Ktoś na nie krzyczał, trząskał w coś batem, uderzał wierzchem dłoni, ryczał w rytm muzyki i ćwiczył. Wszystko odbywało się rytmicznie, z ciężkim mozołem, przy wtórze jakiejś podziemnej maszyny. Być może napędzanej przez te starzejące się kobiety. Minęłam ogródek, małe kino i szłam w stronę najbliższej knajpy. Chciałam się napić piwa z pszenicy w długim, smukłym kuflu i wiedziałam, że mam kupę forsy i cały wieczór należy w Lipsku do mnie. Cokolwiek miałabym zrobić, żeby uczcić ten powrót po roku. Chciałam przejść ulicami miasta i odwiedzić wszystkie miejsca, w których byliśmy. Krążyłam po ulicach jak cień i wiedziałam, że zimno mi na to nie pozwoli. Wrócić na górę i się ogrzać, poszukać dworca głównego, kupić piwo, wypić w pokoju, zasnąć. Iść do knajpy, zamówić kielbaskę, wypić piwo w wysokiej szklance, zasnąć. Stałam przed wystawą. Potem drugą. Szyby były lekko zaparowane. Ludzie oświetleni łagodnym światłem. Miałam kupę forsy, długi wieczór przed sobą i tak dużo nieśmiałości, że nie weszłam do żadnej knajpy na piwo. Zamiast tego szłam coraz zimniejszymi ulicami miasta, żałując mojej psiej budki, pewnej kielbaski, spracowanych kobiet, które wykonywały kilka czynności naraz, obserwując klientów ze zdwojoną uwagą, śmiejąc się pod nosem z mojego apetytu, kiedy szarpałam gorącą kielbaskę zębami i połykałam ją, krztusząc się ze wzruszenia, że znowu tu jestem. Nie wiedziałam, co zrobić. Iść z walizką przed siebie, oznaczyć specjalnie ten teren, usiąść w knajpie z piwem, powiedzieć

komuś po polsku; wróciłam? Weszłam raz jeszcze na ulicę, która zaprowadziła mnie do Instytutu. Nie miałam już sił szukać dworca, który zgubiłam po drodze, knajpy, w której mogłabym napić się jasnego piwa, człowieka, któremu mogłabym powiedzieć, że powrót po roku wiąże się z obowiązkiem obejścia, oblatania i przetarcia raz jeszcze tych samych śladów. Z wyobrażeniem jak śpi twój kawałek miasta i co zdarzyło się w twoim pokoju akademika. Z podejrzeniem, że gdzieś tam, kilka ulic dalej, życie toczy się jak gdyby nigdy nic. Mieszkają ci sami ludzie, nic się nie zmieniło, być może nawet ty znajdujesz siebie w tym samym miejscu. Byłam pewna, że jeśli tylko zakradnę się tam tej nocy nakryję nas wszystkich w akademiku. Spotkam samą siebie w kiblu. Zobaczę jak mi się wiedzie. Sprawdzę wszystkie stany możliwości. Wierzyłam w to, idąc po schodach na górę, a potem kładąc się w rzeczach do łóżka. Ciepło w tym pokoju było niemożliwie bajeczne. Jakbym zapadła się w czyjeś rozgrzane łóżko, ciało, piżamę. Jakbym nigdy nie opuszczała jakiegoś pokoju. Nie wychodziła z gorączki. Chciałam się sparzyć. Sparzyć w środku jak od kielbasek. Utuczyć snem. Byłam zmęczona, skonana, nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Jak w strąku. Zakryłam się kołdrą i zaczęłam szukać niemieckiego radia Marii. Mówili, rozmawiali, gaworzyli, a ja nasłuchiwałam, żeby odgadnąć przeciwko komu tak mówią. Śledziłam rozmowę, wyłapywałam słowa, gubiłam wyrazy i na powrót trzeźwiałam. Pod naporem niemieckich słów przychodził sen i jak coś nadmuchanego, mechanicznego i nieubłagalnego zakrywał mi oczy. Przychodził z góry. Nadciągał jak śnieg. Mruczałam, podśmiechiwałam się z Niemki i mówiłam, no przestań, a teraz śpimy. Ale narada Niemców trwała, a ja czułam się w obozie jenieckim. Obudził mnie zryw. Moje ciało miało sen i spadło na podłogę. Ten upadek mnie obudził. Usłyszałam muzykę w radiu i jakiś sygnał, obcy, nie polski. I wtedy poczułam obecność kogoś, kto żył tu przed wojną. Miał owłosione ręce i pochylał się właśnie nade mną. Czuwał nad moim snem i nie zdążył się ukryć. Podniosłam się na poduszce i zobaczyłam pokój oświetlony jasną lampą z naprzeciwka. Wydawało mi się, że człowiek rozplynął się w powietrzu, ale czuwa i kiedy tylko zamknę

oczy, usadowi się na powrót gdzieś blisko mnie. Miałam pietra. Widziałam wyraźnie jego poharatane, pocięte ręce, pełne drobnych, mocnych włosków, które zbliżają się do mnie jak do dziecka. On chciał mnie pogłaskać. To Żyd, przemknęło mi przez zaspaną głowę. Ale z Żydami mi po drodze. Nie muszę się bać, mam jutro wykład o Auschwitz - Birkenau. Postanowiłam spytać Bernda, kto mieszkał w tym domu przed wojną.